

10. Emigracja do USA, 1980

Przyjazd do Meksyku

W dniu 17 stycznia 1980 r. wyjechałem wraz z rodziną z PRL na kontrakt do Meksyku via Stany Zjednoczone. Podróż samolotem do Ameryki trwa około 9 godzin i jest na tyle długa, że nie sposób uciec od natrętnych myśli, że przecież opuściliśmy kraj i udajemy się z całą rodziną praktycznie w nieznane. Co nam przyniesie los? Czy będzie lepszy od tego, jaki nam zgotowano w PRL? Przecież już gorzej być nie mogło.

Pierwsze dni w USA były bardzo obiecujące. W Nowym Jorku George Capsis wysłał limuzynę po nas na lotnisko, a potem podjął nas wykwinną kolacją w eleganckiej restauracji. Okazał się więc być dobrym przyjacielem w mojej biedzie. Przenocowaliśmy u przyjaciela Freda Koguta, który miał duże mieszkanie. Następnie na kilka dni zatrzymaliśmy się u przyjaciół w Utica w domu państwa Józefa i Ireny Kogutów. Staszek Opalka urządził oczywiście party z okazji naszego przyjazdu. Aż było szkoda opuszczać te gościnne strony. Jednak kontrakt zobowiązywał mnie do rozpoczęcia pracy w Meksyku. W Utice kupiłem używany, duży samochód Ford Ltd, którym przejechaliśmy kilka stanów, zwiedzając po drodze co ciekawsze miejsca. Dla mojej żony Irminy i Agnieszki wszystko w Stanach było nowe, poznawały ten kraj z otwartymi ustami.

Miasto Ciudad Juarez, gdzie miałem pracować w uczelni zwanej *Instituto Tecnológico — Centro Regional De Estudios De Graduados E Investigacion Tecnológica* znajduje się na granicy z Teksasem bezpośrednio amerykańskiego miasta El Paso. W praktyce jest to jedno miasto, przedzielone granicą na rzece Rio Grande. Kiedyś tereny te aż po Kalifornię należały do Meksyku i obecnie oba te miasta były jednym, wspólnym miastem. Tędy prowadziło przejście (*el paso*) z południa na północ, którym od XVI w. podróżowali hiszpańscy kolonizatorzy.

Teraz miasto to przypominało mi Berlin Wschodni i Zachodni, a granica nad rzeką Rio Grande wykazywała podobieństwo do Muru Berlińskiego i to w dosłownym tego słowa znaczeniu, bowiem Amerykanie postawili wysoki mur z siatką kolczastą, aby utrudnić nielegalne przechodzenie granicy. Polityka jest polityką niezależnie, czy znajdujemy się w Europie Wschodniej czy w Ameryce Centralnej. Zresztą w Meksyku panował ustrój zbliżony do PRL, bowiem rządziła jedyna legalna partia Zinstytucjonalizowanej Rewolucji, a opozycja była prześladowana. Dopiero pod koniec XX w. pozwolono na legalną opozycję. Wybory były z reguły fałszowane, a kandydaci z list wyborczych „automatycznie” byli wybierani. Kolejnego prezydenta wyznaczał po prostu poprzedni prezydent. W tej sytuacji komuniści cieszyli się dużym uznaniem, do tego stopnia, że zdjęcia Marksa czy Lenina wisiały na domowych ścianach obok zdjęć... Chrystusa. Wybory były jeszcze większą farsą niż w PRL, np., kiedy przyjechał kandydat na gubernatora do naszej uczelni, dodam, że jedyny kandydat, to nie

wyłosił żadnego przemówienia wyborczego tylko przyjął „hold” lojalności od miejscowych notabli. Patrzyłem na to z wielkim zdumieniem.

Zgłosiłem się do pracy w owej uczelni, ale nikt tam oczywiście o moim przyjeździe nie był powiadomiony. Wkrótce sprawa wyjaśniła się i tak rozpocząłem wykłady z informatyki i zarządzania. Wykładałem po angielsku, a studenci mówili do mnie po hiszpańsku, którego to języka musiałem bardzo szybko nauczyć się, znajomość francuskiego przydała się, ale nauka nowego języka nie obyla się bez trudności. Po pewnym czasie zaoferowano mi dodatkowe wykłady z zarządzania w filii Uniwersytetu *Chihuahua*, co wiązało się z dodatkowym dochodem i poszerzeniem moich akademickich kontaktów.

Mieszkaliśmy jakby w mieście „frontowym” i żeby wyjechać z niego do samego Meksyku trzeba było mieć specjalne wizy podobnie, jak przy wjeździe do USA. Tylko ja miałem takie wizy, mojej rodzinie takowych nie wydano. Przy ich wyrobieniu robiono spore trudności biurokratyczne, trzeba było wysłać paszporty do Mexico City, czego baliśmy się zrobić, aby nie zginęły. PRL-owska ambasada oczywiście umyła ręce, żądając tylko przysyłania 25% moich dochodów. O rozmiarach meksykańskiej biurokracji niech świadczy fakt, że pierwszą pensję przysłano mi po kilku miesiącach ze stolicy kraju. Zresztą wszyscy w tym Instytucie dostawali przekazy pieniężne ze stolicy, która nie ufała miejscowym urzędnikom, że wypłacą pobory w „całości” miejscowym pracownikom. Niektórzy pracownicy nie dostawali poborów nawet ze stolicy od ponad roku, licząc, że kiedyś je jednak otrzymają. W tej sytuacji wypłata moich pensji nastąpiła stosunkowo szybko, jak na stosunki panujące w tym kraju.

Miasto Ciudad Juarez szybko rozwijało się, bowiem Amerykanie lokowali tu produkcję swoich wyrobów, korzystając z bardzo taniej siły roboczej i wakacji podatkowych. Kiedy w latach 90. został podpisany traktat NAFTA na utworzenie Północno-Amerykańskiej Strefy Wolnego Handlu, przygraniczne miasta meksykańskie bardzo na tym zyskały. Ale to moje nowe miasto nie tylko korzystało z handlu z wielkim sąsiadem. Miasto to było miejscem taniej rozrywki dla Teksasńczyków i punktem przerzutów narkotyków oraz „pomostem” dla nielegalnej emigracji. W 1999 r. odkryto kilkaset zwłok. w tym mieście, ofiar porachunków narkotykowych. Jednym słowem miasto to było dość niebezpieczne dla nas, nie przywykłych do stosunków z „Dzikiego Zachodu”. Do tego dochodziła olbrzymia rozpiętość dochodów, byli bardzo bogaci i bardzo biedni. Klasy średniej nie było. Mężczyźni pracowali, a właściwie to żebrali, na skrzyżowaniach ulic myjąc szyby samochodów lub na placach parkingowych, pomagając zaparkować auto przed sklepem na pustym parkingu.

Sami Meksykanie okazali się bardzo sympatycznymi gospodarzami, a studenci bardzo wdzięcznymi słuchaczami, łaknącymi wiedzę. Byliśmy zapraszani przez kolegów z uczelni, którzy mieli bardzo miły sposób witania gości i mówienia im, że „mój dom jest twoim domem”. Gorzej było z naszą punktualnością. Przyjść na kolację na godzinę 7 wieczorem było wielkim nietaktem, wypadało się „spóźnić” co najmniej 2 godziny. Bowiem pani domu była w przysłowio-

wym „rosole”, a o kolacji nie było jeszcze, ani słychu ani dychu. Młodzież meksykańska bardzo szybko dojrzewa a zwłaszcza dziewczęta, które bardzo prędko stają się kobietami, lubiącymi ostry makijaż i modne sukienki. Nic dziwnego, że szybko wychodzą za mąż i jeszcze szybciej zostają matkami, mając często po kilkanaścioro dzieci, stąd też ciężarówka a nie samochód osobowy jest tu rodzinnym pojazdem. Ludność Meksyku rośnie w zawrotnym tempie i pod koniec XXI w., moim zdaniem, może dogonić populację Indii. W tym stanie rzeczy, rząd nie może zapewnić wystarczającej liczby miejsc pracy i bezrobocie, w okresie kiedy tam byłem, wynosiło do 60 proc. W rozmowach z zakłopotanymi kolegami-wykładowcami, zaproponowałem model finansowania przez państwo młodych rodzin w wysokości 50 tys. dol., które zostają włożone do banku na 10 lat, na wysoki procent. Za każde nowe dziecko rodzice płaciliby karę w postaci odpisu od kapitału. W ten sposób mieliby środki na rozwój własnego biznesu i nadzieję na spory kapitał, który po 10 latach mógłby sięgnąć 200 tys. dol. pod warunkiem, że rodzice szukaliby innej rozrywki poza sferą prokreacji.

Korzystając z mojego doświadczenia w opracowywaniu programów rozwoju gospodarczego, spowodowałem opracowanie „Programu Rozwoju Przemysłu w mieście Ciudad Juarez”⁴. Koledzy byli bardzo zadowoleni, ponieważ mogli wykazać się inicjatywą polityczno-gospodarczą. Dokument został wręczony kandydatowi na gubernatora tamtejszego stanu. Być może dał pewne podstawy do dalszego rozwoju tego typu regionów przygranicznych, zwanych „*maquiladoras*”, w ramach NAFTA.

Wielkie upały powodowały u mnie silne i ustawiczne bóle głowy, a ogólna marna sytuacja doprowadziła mnie do stanów depresyjnych. Jedynie nasz synek Jacuś był nieświadomy niczego, miał 2,5 lat i beztrako bawił się w basenie z meksykańskimi dziećmi. Ku naszemu zaskoczeniu jego pierwszym językiem stał się hiszpański. Natomiast córka Agnieszka pracowała w przedszkolu, gdzie momentalnie nauczyła się mówić po hiszpańsku. Irmina zajmowała się domem i lubiła chodzić na zakupy na targ, gdzie był ogromny wybór owoców i jarzyn dotąd nam nie znanych. Zacząłem grać w tenisa i poznawać miejscowych graczy ale gra w dużym słońcu spowodowała u mnie udar słoneczny. Nie pomagały żadne proszki, tylko długie okłady z zimnej wody ostudziły moją przegrzaną i stroskaną łepetynę.

Klimat Meksyku nam nie służył i w tej sytuacji postanowiliśmy przenieść się do sąsiedniego kraju, czyli do Stanów Zjednoczonych. W miejscowej bibliotece był tylko jeden numer amerykańskiego miesięcznika zawodowego, w którym znalazłem ogłoszenie na pracę w Western Michigan University w katedrze inżynierii przemysłowej (*industrial engineering*). Miałem podobne podstawowe wykształcenie z Politechniki Warszawskiej, napisałem podanie i zostałem przyjęty

⁴ Andrzej S. Targowski, Sergio O. Villezcas Armandoriz, Luis Antonio Perez Gonzdiez, Gustavo Cruz Soto, „*Diseno De Un Sistema Para El Estrudio Y Desarrollo De Estrategias De Industrializacion Autonomia En Ciudad Juarez*”, Mayo 1980.

do pracy na semestr jesienny 1980 w mieście Kalamazoo w stanie Michigan. Na początku sierpnia spakowaliśmy swoje manatki i opuściliśmy gorący Meksyk.

Przyjazd do Stanów Zjednoczonych, 1980

W niespełna pół roku od wyjazdu na Południe, wyruszyliśmy tym razem na Północ. Jechaliśmy autem kilka dni z pełną przyczepą *U-haul* („Ty ciągniesz” sam) i jeszcze pełniejszą głową natarczywych myśli, jak zorganizować sobie życie na emigracji. W USA około 5 proc. populacji (ponad 13 milionów) pochodzi z Polski, choć gdy Rodacy emigrowali pod koniec XIX w. to emigrowali z Austrii, Niemiec, czy Rosji, bowiem Polski nie było na mapie. I oto w 100 lat potem i moja rodzina wyemigrowała do tego gościnnego kraju, w którym przodkowie wszystkich obywateli bądź oni sami skąść wyemigrowali, oczywiście z wyjątkiem rdzennych Indian. Ale i oni też tu przybyli i to z Mongolii.

Emigracja odgrywała zawsze sporą rolę w życiu Polski. Emigracja polityczna z Polski zaczęła się już pod koniec XVIII w. po stłumieniu Konfederacji Barskiej w 1771 r., następnie po 1772 r. (wojna z Rosją i Konfederacja Targowicka) i po Powstaniu w 1794 r. Największa fala emigracji politycznej wystąpiła po Powstaniu Listopadowym 1830-31 do Francji, zwana Wielką Emigracją. Następna fala emigracji politycznej miała miejsce po rewolucji Wiosny Ludów w 1848-49 i po Powstaniu Styczniowym w 1863-6, ta ostatni była zwana „Młodą Emigracją”. Z emigracji tej wyrosli potem tacy politycy, jak Roman Dmowski i Ignacy Paderewski, którzy przyczynili się do uznania niepodległości Polski w Traktacie Wersalskim w 1919 r. Kolejna Druga Wielka Emigracja polityczna miała miejsce po 1945 r. kiedy ok. 250 tys. byłych wojskowych nie powróciło z Zachodu do PRL i osiedliło się w W. Brytanii, USA, Kanadzie, Australii, we Francji, Argentynie i Brazylii, i w wielu innych krajach. Emigracja ta stworzyła Rząd Londyński, miesięcznik „Kultura” i Radio Wolna Europa, które to instytucje odegrały bardzo dużą rolę w walce propagandowej z komunizmem oraz w kontynuowaniu tradycji Polski demokratycznej. Następna fala emigracji politycznej, którą nazwiemy Drugą Młodą Emigracją, bo złożoną głównie z młodych działaczy *Solidarności*, miała miejsce po 1981 r. po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Niezależnie od emigracji politycznej miała miejsce emigracja zarobkowa, spowodowana zastojem gospodarczym Polski pod zaborami lub sytuacją w PRL. Oczywiście emigracja zarobkowa była najliczniejsza, sięgająca paru milionów ludzi.

Moja skromna rodzina nie mieściła się w żadnej z tych fal emigracyjnych, przybyliśmy bowiem do USA przed powstaniem niezależnego związku zawodowego *Solidarność* i na rok przed wprowadzeniem stanu wojennego. Moja sytuacja polityczna była nietypowa, a wkrótce utonęła w powodzi emigracji solidarnościowej, która miała swoje nowe problemy, przy których moje problemy z wprowadzaniem informatyki w PRL wręcz zbladły, aczkolwiek były bardzo symptomatyczne dla rodzącej się opozycji w kraju, jednak walka o „komputery”

w PRL nie była zrozumiała dla emigracji w USA, która przeszła II wojnę światową lub wydostała się z więzień stanu wojennego.

Życie w Stanach Zjednoczonych zależy od pracy, kto ma dobrą pracę ten ma na ogół 'dobre życie'. Stanowisko profesora na liczącym się amerykańskim uniwersytecie daje podstawy do ułożenia sobie dobrych warunków życia. Uzyskanie stałego zatrudnienia na uczelni wiąże się z pozytywnym zaliczeniem 6-letniego okresu próbnego, który jest bardzo trudny. Ale nie myślałem o tym teraz. Wynajęliśmy domek i mieliśmy nie gorsze warunki mieszkaniowe aniżeli w naszej Magdalence w Polsce. Agnieszka poszła do gimnazjum a Jacuś do przedszkola, co wprowadziło ich od razu w nurt aktywnego życia, w którym szybko nauczyli się angielskiego. Gorzej było z żoną Irminą, która będąc lekarzem musiała nostryfikować dyplom. Odtąd nasze życie rodzinne było dopasowane do Irminy wymagań szkoleniowych oraz było zorganizowane wokół ciężkich chorób Agnieszki i Jacka. Ponadto zająłem się publicystyką polityczną w prasie polonijnej, m.in. w „Nowym Dzienniku” w Nowym Jorku i „Dzienniku Związkowym” w Chicago.

Po dwóch latach pracy w katedrze Industrial Engineering dostałem ofertę do przejścia do pracy w katedrze Nauk Komputerowych (*Computer Science*), ale nie przyjąłem oferty, bowiem chciałem przenieść się do Nowego Jorku, gdzie skupiła się polska emigracja polityczna i byli czytelnicy moich felietonów. Wprawdzie w Chicago było najwięcej Polaków, ale pochodzili oni z dawnej emigracji, z którą mnie mniej łączyło. W 1982 r. przeniostem się na Uniwersytet Hofstra na Long Island pod Nowym Jorkiem i pełen nadziei na ciekawe życie polityczne wśród polskiej emigracji wywiozłem rodzinę do tego największego skupiska ludności w Północnej Ameryce. Okazuje się, że wszystko trzeba samemu przeżyć i zbadać na własnej skórze.

Wielkie skupisko ludzi w Nowym Jorku sprawia, że ludzie mają mało czasu dla siebie a co gorsze są dla siebie mało uprzejmi. Jakość życia w metropolii Nowego Yorku jest zdecydowanie niższa od miejsc takich, jak nasze pierwsze miejsce zamieszkania w Kalamazoo. Wkrótce zaczęliśmy planować wyniesienie się z tego przeludnionego obszaru. Po trzech latach intensywnej nauki i przerebienia w praktyce całego kursu medycyny, Irmina zdała bardzo trudny egzamin lekarski dla absolwentów zagranicznych uczelni medycznych. Teraz musiała przejść jeszcze praktykę rezydenturę, w szpitalach i ośrodku zdrowia, która trwa 3 lata, zanim zostaje się samodzielnym lekarzem. Dostanie rezydentury dla lekarza obcokrajowca wymaga dużo szczęścia, które nam sprzyjało, bowiem Irmina dostała się na praktykę do ośrodka medycznego przy *Wright State University* w Dayton w stanie Ohio. Ośrodek sam znajdował się w małym miasteczku Yellow Springs pod Dayton a szpitale były rozsiane po okolicy. Nasz dom rozbił się na dwa oddalone od siebie o 1100 km. Jacek został z Mamą, a Agnieszka poszła na studia do *Colorado School of Mines*, czyli do takiej polskiej Akademii Górniczo-Hutniczej (AGH). Wybrała kierunek geofizyki, czyli nauki o Ziemi, złasz-

cza o trzęsieniach Ziemi, których pełno w tym kraju, zwłaszcza w okolicach przepięknego San Francisco.

Po rozbiciu domu na dwa, odwiedzałem Irmine i Jacka podczas weekendów, co wymagało przejechania 2200 km samochodem. Początkowo podróż w jedną stronę zabierała mi 8 do 9 godzin, ale potem byłem już tak zmęczony, że nie mogłem pokonać tego dystansu poniżej 12 godzin, bowiem coraz częściej stawałem na odpoczynek. Podróż samolotem była krótsza, „od drzwi do drzwi” zabierała tylko 7 godzin ale była za to o wiele droższa. W tej sytuacji przeniosłem się na *Eastern Kentucky University* w Richmond, w stanie Kentucky. Odtąd dzieliła nas 3 godzinna podróż, którą albo Irmine, albo ja pokonywaliśmy. Jacuś przeszedł pod moją opiekę, aby dać Mamie więcej czasu na naukę, bowiem czekały ją jeszcze końcowe egzaminy. Wkrótce dołączył do mnie syn Staś, który wreszcie wydostał się z Polski. Po moim wyjeździe chciał studiować fizykę na Uniwersytecie Warszawskim, zdał pisemny egzamin, ale na ustnym powiedziano mu, że z uwagi na ojca ucieczkę z PRL nie zostanie przyjęty na studia. Odtąd miałem pod opieką dwóch synów, którzy najwięcej korzystali z emigracji, bowiem nie byli świadomi jej cieni.

Eastern Kentucky University ma piękny campus, ale uczy studentów pochodzących z rolniczego stanu, co siłą rzeczy ograniczało ich zainteresowania informatyką. Nie planowałem pozostania na tej uczelni, która znajdowała się daleko od centrów przemysłowych, gdzie moja wiedza i kwalifikacje mogły być lepiej wykorzystane. Kiedy Irmine skończyła rezydenturę przeniosłem się z powrotem na *Western Michigan University* w Kalamazoo, w którym to mieście żona otrzymała także swoją pierwszą pracę jako amerykański lekarz rodzinnej praktyki (*family practice*). Już na rezydenturze Irmine otrzymała swą pierwszą pensję, ale teraz jej dochód podwoił się a wkrótce i zwielokrotnił.

Warto zauważyć, że w tym kraju zawód lekarza ma najwyższy status i najwyższe zarobki spośród wszystkich zawodów. Bowiem w tym kapitalistycznym kraju najwyżej ceni się zdrowie człowieka. Sytuacja lekarza jest diametralnie różna w krajach socjalistycznych, gdzie wbrew propagandzie, nie ceni się życia ludzkiego a co zatem idzie lekarze i pielęgniarki są najniżej opłacanymi fachowcami. Niestety ta sytuacja przeszła z PRL do III RP, moim zdaniem dzięki przyjęciu fatalnego modelu służby zdrowia w 1999 r., opartego na mocno krytykowanej w USA próbie amerykańskich ośrodków HMO (*Home Management Organization*) obniżenia kosztów leczenia. W praktyce próba ta nie udała się, cierpią przede wszystkim pacjenci, a korzystają dyrektorzy HMO, których zarobki sięgają nawet kilku milionów dol. rocznie.

Nowa sytuacja finansowa umożliwiła nam kupienie wygodnego, dużego 8-pokojowego domu z werandą i ładnym ogrodem. Stało się tak dzięki olbrzymiej pracy, jaką Irmine włożyła w przygotowania do nostryfikacji dyplomu. Uczyla się po kilkanaście godzin dziennie i ledwo tolerowała rozmowy ze mną, tak była poświęcona nauce. Nie musiała wprawdzie pracować zarobkowo, ale mając już 40 lat wykonała olbrzymią pracę, zwłaszcza, że musiała przestudiować nowe

dyscypliny medyczne, które były w powijkach, kiedy studiowała medycynę w Warszawie. Wielu polskich lekarzy nie wytrzymuje tak olbrzymiego wysiłku, jaki trzeba włożyć w nostryfikowanie dyplomu i nie dostaje licencji na uprawianie zawodu lekarza w USA.

Przy okazji omawiania tej sprawy warto zwrócić uwagę na różnicę w kształceniu lekarzy w Polsce i w USA. W Polsce po ukończeniu studiów, lekarz wie bardzo dużo o medycynie, ale ma słabe przygotowanie do leczenia chorego. Dopiero w miarę praktyki zdobywa kwalifikacje, jak leczyć pacjenta. W Stanach Zjednoczonych, absolwent szkół medycznych nie jest naszpikowany wiedzą teoretyczną, ale za to wie „co z pacjentem zrobić”. Musi go po prostu wyleczyć bez zbytniego „filozofowania”. Oczywiście o ile choroba jest uleczalna. Lekarze praktycy nie bawią się w robienie doktoratów tylko zabierają się od razu za rozwijanie prywatnej praktyki. Tak więc Irmina schowała swój doktorat z medycyny do szuflady, aby nie drażnić kolegów, którzy byliby zdziwieni dlaczego go zrobiła. Druga różnica polega na roli szpitala. Otóż w USA szpital jest „hotelem”, który nocuje pacjenta i udostępnia usługi pielęgniarek, laboratoriów oraz sale operacyjne i odpowiedni sprzęt. Szpital nie zatrudnia lekarzy, którzy po prostu leczą w szpitalu swoich pacjentów, których przedtem przyjmowali w swoich prywatnych klinikach. Innymi słowy lekarz odpowiada za swojego pacjenta, czy to w swojej klinice, czy w szpitalu. W ten sposób zdobywa olbrzymie doświadczenie i musi zabiegać o dobrą opinię u pacjentów-klientów. Dzięki tej różnicy w metodzie leczenia Amerykanie żyją przeciętnie o 15 proc. dłużej niż Polacy. Dzięki temu modelowi Irmina bardzo rozwinęła się jako lekarz, zdana tylko na siebie wyrosła na bardzo wziętego lekarza, do którego przysyłają swoje córki i żony inni lekarze. Często moi studenci mówią mi, że są pacjentami mojej żony, wtedy pytam „a czy wyleczyła cię?”. „Oczywiście” pada odpowiedź. Jest mi wtedy bardzo miło i jestem dumny ze swojej żony. Ja ich uczę, a ona ich leczy, jesteśmy więc przydatni. W Polsce, Irmina pracowała w szpitalu na Szaserów, gdzie podczas obchodów lekarskich miała nad sobą ordynatora, dyrektora instytutu i dyrektora szpitala, była więc czwarta w hierarchii i praktycznie miała mało do powiedzenia w leczeniu pacjenta, który tylko na tym cierpiał, bowiem decyzje o jego leczeniu zapadały jakby „komisyjnie”, gdzie nie wiadomo kto za chorego odpowiada.

Muszę dodać, że miasto Kalamazoo w stanie Michigan znajduje się w jednym z najbardziej uprzemysłowionych stanów Ameryki, takim polskim województwie katowickim. To w tym stanie jest miasto Detroit, będące centrum przemysłu samochodowego, który jest największym amerykańskim przemysłem. W mieście Kalamazoo znajduje się wiele firm kooperujących z „Detroit” oraz jest jedna wielka farmaceutyczna firma Upjohn, która potem połączyła się ze szwedzką firmą Pharmacia i amerykańskim koncernem Monsanto. Metropolia miasta liczy ok. 250 tys. mieszkańców, w której jest własna zawodowa orkiestra symfoniczna, kilka teatrów i jeden 27-tysięczny uniwersytet oraz dwa świetne koledże (Kalamazoo College i KVCC College). Same Kalamazoo jest w poło-

wie drogi między Chicago a Detroit na jednym z trzech największych pasów cywilizacyjnych Ameryki Północnej. Największy pas rozpościera się od Bostonu poprzez Nowy Jork do Waszyngtonu, drugi wiedzie od San Francisco poprzez Los Angeles do San Diego, a trzeci prowadzi od Chicago, poprzez Kalamazoo, Detroit do Pittsburga. Tak więc znaleźliśmy się omal w centrum *Midwestu* (Środkowego Zachodu), w pięknej krainie Wielkich Jezior. W Stanach Zjednoczonych praktycznie nie ma pojęcia prowincji, życie w wielkich miastach stało się bardzo niewygodne z uwagi na korki samochodowe i przeludnienie, stąd miasta wielkości naszego są poszukiwanym miejscem do wygodnego życia.

W sytuacji normowania się naszego życia rodzinnego i zawodowego przystąpiłem ostro do otrzymania tzw. *tenure*, czyli dożywotniej posady profesora. W porównaniu do Polski, uzyskanie dożywotniego stanowiska profesorskiego w Stanach Zjednoczonych na dobrym uniwersytecie jest znacznie trudniejsze, bowiem oparte jest o jasne i bezwzględne kryteria. Najważniejszym z nich jest wykazanie się co roku opublikowaniem wyników badań w naukowych periodykach, gdzie przyjmowanie do druku odbywa się na podstawie anonimowej oceny przez rówieśników naukowych spoza redakcji. Wystarczy powiedzieć, że oceny te są surowe i odrzut nadesłanych prac wynosi średnio 95 proc. Nawet po zaakceptowaniu pracy do druku trzeba jeszcze wykonać wiele poprawek, także cykl opublikowania wartościowej pracy trwa średnio dwa lata. Nie muszę dodawać, że publikacje z informatyki w Stanach Zjednoczonych stoją na najwyższym poziomie światowym i aby opublikować pracę trzeba wnieść coś naprawdę wartościowego. Co roku ma miejsce ocena pracy kandydata przez kolegów z katedry, przez kierownika katedry, przez dziekana, przez prorektora d/s naukowych i w przypadku nadania *tenure* przez prezydenta i Radę Zaufanych. Bardzo często korzysta się z opinii spoza uniwersytetu. W ocenie tej bierze się pod uwagę także „oceny” anonimowo wykonywane przez studentów (raz na rok) oraz oceny pracy kandydata na rzecz komisji katedralnych, wydziałowych, uczelnianych i środowiskowych. Najtrudniej jest otrzymać pozytywne opinie od komisji katedralnej, złożonej z rówieśników. W grę tu wchodzi tzw. polityka i obawa przed konkurencją. Najczęściej kandydaci odpadają na tym właśnie etapie, gdzie ocena dorobku naukowego jest czasem bezwzględna. Ta „bezwzględność” wynika z modelu społeczeństwa, w którym istnieje ostra konkurencja i syndrom sukcesu. Niech o tym świadczy fakt, że amerykańscy studenci nie ściągają na egzaminach od siebie, bowiem już w klasie zaczynają konkurować między sobą o przyszłe stanowiska.

Musiałem bardzo mocno starać się, aby uzyskać *tenure*, zwłaszcza, że pisanie po angielsku na wysokim poziomie intelektualnym jest dla obcokrajowców bardzo trudne. Można nauczyć się mówić biegle po angielsku, ale uprzednio nie chodząc do szkoły, nauczyć się pisać idiomatycznie po angielsku jest praktycznie niemożliwe. Oczywiście mam tu na uwadze nie pisanie listów czy prostych raportów, a mam na względzie pisanie zaawansowanych publikacji, stąd też muszę zawsze oddawać moje manuskrypty do oszlifowania pod względem składni

i zamerykanizowania. Miałem na tym tle pewien kompleks ale do czasu, kiedy przeczytałem, że Joseph Conrad (Józef Korzeniowski) uznany za jednego z pięciu największych pisarzy angielskich, miał powiedzieć, że „każde zdanie po angielsku sprawia mi kłopot”. Warto zauważyć, że nasz wielki Rodak zaczął pisać po angielsku dopiero w wieku 23 lat, przedtem pisał po polsku i francusku. Żona Angielka pomagała mu potem w redakcji angielskich tekstów.

Ponieważ mimo wszystko publikacje mi jakoś dobrze szły oraz miałem dobre „oceny” od studentów, skrócono mój okres próbny do 4 lat, po którym to czasie otrzymałem dożywotnie stanowisko zwyczajnego profesora. Przy okazji warto zauważyć, że uniwersytety amerykańskie stoją na najwyższym poziomie światowym, o czym świadczy fakt, że studiuje na nich około 1 miliona obcokrajowców.

Uczelnie dzielą się na kilka kategorii, na publiczne i prywatne, przy czym do najślawniejszych należą właśnie prywatne, z tzw. *Ivy League*, czyli z Ligi Wino-rosli (od winorośli pokrywających stare budynki). Zaliczają się do nich *Harvard University*, *Yale University*, *Princeton University*, *Cornell University*, *Brown University*, *Columbia University* i *Dartmouth College*. Wszystkie one znajdują się na Wschodnim Wybrzeżu. Do tej samej kategorii można dodać MIT, *Stanford University*, *University of Chicago* i *California Institute of Technology*. Do niższej ligi można zaliczyć jeszcze kilka prywatnych uniwersytetów jak np. Emory czy Vanderbilt, powiedzmy w sumie dalszych dziesięć. Teraz wypada wymienić po jednym flagowym uniwersytecie stanowym, gdzie poszczególne stany pompują olbrzymie środki, takich uniwersytetów będzie 50. Najlepsze z nich jak np. *University of California* w Berkeley, czy *University of Michigan* w Ann Arbor mogą łatwo konkurować z uniwersytetami z *Ivy League*. W sumie wymieniliśmy już 70 uniwersytetów, a mój będzie znajdował się w grupie dalszych 30-tu, czyli w pierwszej 80-tce. Porównując do sytuacji w Europie, podzieliwszy owe 80 uczelni między 40 państw, okaże się, że mój uniwersytet jest drugim/trzecim uniwersyteciem jakiegoś europejskiego państwa. Warto zauważyć, że w USA jest w sumie około 3000 koledzy i uniwersytetów, a co czwarty Amerykanin ma wyższe wykształcenie, a 81 proc. ludzi ma ukończoną szkołę średnią. Najlepsze uniwersytety grupują się w czterech stanach; w Kalifornii, Massachusetts, Nowym Jorku i właśnie w moim stanie Michigan. Jest tak dlatego, ponieważ w tych stanach rozwija się najlepiej przemysł i zaawansowana technika, które wymagają najlepszych centrów akademickich.

Oczywiście, że wolałbym pracować na uniwersytecie z *Ivy League*, ale los rzucił mnie do Kalamazoo, gdzie doceniono moje kwalifikacje i gdzie zrobienie *tenure* było łatwiejsze. I tak dziwiono się, że Polak może coś umieć z zaawansowanej informatyki. W *Ivy League* dziwiono by się jeszcze bardziej i może nawet by nie uwierzono. W okresie robienia *tenure*, uniwersytet wysyłał mnie średnio dwa razy do roku na konferencje informatyczne, co wiązało się ze zwiedzaniem najpopularniejszych miast amerykańskich połączone z przebywaniem w eleganckich hotelach w gronie elit naukowych mojej dyscypliny. Dla mnie obcokrajowca była to nie lada okazja, toteż na konferencje te jeżdżę albo z żoną, albo



z jednym z synów. Obecnie jeżdżę na takie konferencje raz na rok. Ponieważ Irmina też jeździ na swoje konferencje, więc średnio dwa do trzech razy w roku wylatujemy z Kalamazoo w wielki świat, nie licząc naszych prywatnych wyjazdów, coraz częściej do odległych krajów.

Zajęcia na moim uniwersytecie są zorganizowane w dwa cztero-miesięczne semestry (jesienny i zimowy) oraz dwa sześciotygodniowe semestry (wiosenny i letni) ze zdwojoną liczbą zajęć. W ten sposób student może szybciej skończyć studia, powiedzmy nie w cztery lata a w trzy i pół roku. Z tym, że student może wziąć maksimum 3 semestry. W ciągu semestru uczę trzy klasy, czyli około 100 studentów, w krótszych semestrach (jednym z owych dwóch) uczę około 50 studentów w dwóch kursach, zatem w ciągu roku uczę około 250 studentów, czyli w 20 latach wykształciłem około 5000 studentów w informatyce, w tym kilkuset z kilkudziesięciu krajów, ale niestety tylko kilku z Polski.

Uważam, że amerykański campus uniwersytecki jest najciekawszym miejscem pracy w Stanach Zjednoczonych. Zatrudnienie jest ustabilizowane i nie podlega częstym redukcjom, jak w prywatnym biznesie, warunki lokalowe są bardzo dobre, laboratoria są świetnie wyposażone, liczne odczyty i spotkania dają gwarancję poznawania ciekawych ludzi, studenci są wdzięczni za dobre nauczanie. Chociaż te sielankowe warunki nie są wolne od lokalnej polityki między profesorami, którzy są bardzo konkurencyjni i łasi na wyróżnienia i przywileje. Na uczelni jest wyraźny podział na administrację i fakulty (czyli profesurę), ta ostatnia ma decydujący głos w samorządowym profilowaniu programów kształcenia, a także w zatrudnianiu, promocji i zwalnianiu fakulty. Administracja czyli kierownicy katedry, dziekani po prostu wykonują decyzje komisji profesorskich, chociaż sami mają decydujący głos w spornych sprawach. Na tym tle dochodzi do nierzadkich konfliktów, które są rozstrzygane m.in. w ramach rozmów między administracją a związkami zawodowymi. Przyznawanie dożywotnich profesur ma na celu popieranie tzw. wolności akademickiej, tak aby profesor wypowiadał się krytycznie bez obawy o stratę pracy. Warto zauważyć, że szanujący się i czynny w nauce profesor nie garnie się do pracy administracyjnej, do której idą akademicy po skończeniu kariery naukowej. Prezydentami uczelni są zwykle dobrzy biznesmeni, bowiem amerykańska uczelnia to skomplikowany biznes.

Tego typu stosunki są różne od europejskich, gdzie administracja rządzi autorytarnie uczelnią i praca w niej ma swój ważny status. Ale na tym polega różnica między amerykańską demokracją a europejską, w której są zawsze równiejsi wśród równych. W wyniku tych stosunków Amerykanie mają największy wkład do postępu nauki i techniki na świecie, który m.in. można ocenić po największej liczbie przyznanych nagród Nobla.

Życie towarzyskie

W Ameryce człowiek ustabilizowany nie żyje tylko samą pracą, chociaż takich pracusiów jest bardzo wielu. Dobre warunki mieszkaniowe, długie weekendy i wakacje, a także ładna pogoda sprzyja spotkaniom czy w domu, czy w ogrodach. Amerykanie kochają się w *party* oraz w częstym chodzeniu do restauracji, zwłaszcza w piątki, po zakończeniu tygodnia pracy. Oczywiście nie omieszkaliśmy zaadaptować się do tej amerykańskiej kultury, która wszakże nie była nam obca, bowiem Polacy też lubią się w urządzaniu przyjąć, zwłaszcza imieninowych.

Polak emigrant ma ułatwione w tym względzie zadanie, ponieważ jest szybko wchłaniany przez istniejące środowisko polonijne i w niekończące się „nocne Polaków rozmowy”. W Kalamazoo spotkaliśmy wielu wojennych emigrantów, którzy trzymali się razem i szybko nas zaakceptowali. Każdy z nich miał piękną kartę z wojny i nieraz tragiczne przejścia w wydostaniu się na Zachód. Praktycznie można by o każdym z nich napisać oddzielną nowelę a nawet zrobić film.

Liderem tego środowiska w Kalamazoo był prof. Stanisław Leja z mojego uniwersytetu, pochodzący ze znanej rodziny matematyków. Wydostał się z Rosji wraz z Armią Andersa, ale już w pierwszym dniu wolności na ziemi irańskiej umarł tego samego dnia z wycieńczenia dwaj jego synowie, a wkrótce zmarła i żona. Profesor założył nową rodzinę (ostatnią z panią Hanną Bienias) i pomimo tylu przejść humor go nigdy nie opuszczał. W jego gościnnym domu regularnie spotykaliśmy się z innymi cichymi bohaterami II wojny światowej.

Jednym z nich jest prof. Izydor Modelski, który brał udział w bitwie pod Monte Cassino i jest dla mnie nieocenionym źródłem wiedzy historycznej o często nieznanymi faktach z polskiej historii. Izek pomaga mi często przy pisaniu moich polskich książek, czyta manuskrypty i służy radą. Jest bratankiem znanego generała Izydora Modelskiego, który nie poparł Przewrotu Majowego w 1926 r. i był potem szykanowany. Być może dlatego Izek bardzo dokładnie studiuje czasy Sanacji i wyciąga coraz to nieznanne fakty z czasów jej rządów, które jego zdaniem doprowadziły do klęski w 1939 r. U Izka podziwiam wielką trzeźwość umysłu, umiejętność spojrzenia na sprawę z punktu widzenia przeciwnika. Przede wszystkim godna podziwu jest jego postawa w uporczywym dochodzeniu do prawdy historycznej. W tym względzie funkcjonuje nie jak politolog a jak „fizyk”.

Jego przyjaciel inż. Bohdan Grodzki, też bohater spod Monte Cassino jest także nieocenionym dla mnie źródłem wiedzy o stosunkach w przedwojennej Polsce. Ożenił się z Włoszką Marią, która nauczyła się biegle mówić po polsku i przejechała pół świata z nim po powojennych szlakach polskich emigrantów, które w ich przypadku wiodły przez Anglię, Argentynę do USA. Teraz Bodzio jeździ często do Polski w swe rodzinne strony, gdzie był jego majątek, ale coraz mniej podobają mu się stosunki panujące w III RP. Teraz przewodniczy polskim kombatantom w Detroit. Awansowałbym go od razu z majora na generała, choć raz odmówił mi polecenia go na ambasadora przy Watykanie, kiedy szukano od-

powiedniego kandydata za czasów pierwszego ministra Spraw Zagranicznych III RP prof. Krzysztofa Skubiszewskiego, z którym byłem w kontakcie. Moim zdaniem był najlepszym kandydatem, znającym perfekty włoski (oraz kilka innych jeszcze języków) oraz znającym i kultywującym niepodległościowe tradycje, okupione krwią „za waszą i naszą wolność” pod pod lazurowym, włoskim niebem pod Monte Cassino.

Gdy mowa o tej sławnej, zwycięskiej bitwie Polaków, to muszę tu wspomnieć o Bronku Kochańczyku, który kierował wtedy jedną z baterii artyleryjskich, a potem „okupował” Włochy, nawet będąc powojennym komisarycznym burmistrzem jednego z tamtejszych miasteczek. Upřednio Bronek był kurierem, który przeprowadzał Polaków przez Karpaty na Węgry, a potem walczył w Dywizji Karpackiej w Afryce, zanim nie dotarł do owego klasztoru na górze Monte Cassino. Był taki czas w początkowej fazie II wojny światowej, kiedy z Niemcami walczyli tylko Brytyjczycy i owa polska Dywizja. Zapamiętałem z jego opowieści jeden szczegół z walk w Afryce, a mianowicie, że ani Niemcy ani Polacy nie niszczyli po sobie zostawianych studni, walczone jakby *fair*, choć trudno to sobie wyobrazić, zwłaszcza mnie, który przeżył koszmar Powstania Warszawskiego. Bronek ożenił się po wojnie z pół Polką, pół Francuską — Iwoną, dentystką w drugim pokoleniu, która rozwinęła świetną praktykę w Kalamazoo i zaczęła z mężem objeżdżać świat w najdalsze miejsca na kuli ziemskiej. Iwonka jak przystało na pochodzenie francuskie, świetnie gotuje i urządza regularne przyjęcia z menu, napisanym po francusku i położonym przy każdym talerzu. Bardzo lubi wspominać swoją rodzinę z Polski, wśród której miała wujka Wojciecha Górskiego, założyciela sławnej warszawskiej szkoły, do której i ja chodziłem i nawet nosiłem sławne francuskie *kepi*.

Niesłychane historie związane z ucieczką z Syberii do Armii Andersa opowiada mi wciąż inż. Stanisław Tyszkiewicz, świetny znawca Rosji. Jego żona Halinka była uczennicą prof. Lei w Nazarecie w Palestynie, po ucieczce z Rosji. Jego brat Władysław z kolei uciekł od Francuzów do polskiej armii, żeby było ciekawiej to uciekł z Legii Cudzoziemskiej, w której walczył od lat 20. jeszcze w Indochinach. Nazywałem go *mon cher colonel*, co bardzo lubił.

Przedstawicielem warszawskich powstańców był człowiek wielkiej dobroci Zygmunt Woliński, który był skarbnikiem Skarbu Narodowego, zbieranego przez Rząd Londyński. Z tego względu urządzał liczne przyjęcia (które sam szykował) powiązane ze zbiórką pieniędzy w swoim domu, słynnym z olbrzymiej kolekcji talerzy na ścianach. Na ową kolekcję pokusili się jego dalecy kuzyni, którzy zaprosili go do upalnego Teksasu, gdzie trzymany bez klimatyzacji zakończył swe zacne życie. Okoliczności jego śmierci są nadzwyczaj niejasne, choć motywy są klarowne.

Nasze emigracyjne przyjęcia zaprawiał humorem świetny satyryk Stanisław Nawakowski, członek Baonu AK Zośka. Miał olbrzymi talent, który zmarnował się na emigracji, bowiem satyryk musi widzieć się w druku i brać żywy udział w społeczeństwie, którego mu zabrakło na Obczyźnie. Był ożeniony z Aleksan-

dra Chrobok, której ojciec był jednym z przywódców Powstań Śląskich i potem był szykanowany przez marszałka Piłsudskiego. Teraz pani Ola stara się wydać książkę o ojcu, ale nie idzie to jej łatwo, duży upływ czasu i brak dokumentów robi swoje. Ma licznych braci, z których jeden ożenił się z księżniczką bułgarską, która w 1999 r. odzyskała swój majątek w Bułgarii. Nie wiem, czy te środki zostaną wykorzystane do opublikowania owej książki. Pani Ola jest też „chora na Polskę” i będąc już na emeryturze uruchamia po 1989 r. w Polsce amerykańskie programy szkoleniowe z ochrony i bezpieczeństwa pracy.

Szopka Polityczna pt. „Nic” (wyjątki)

Plenery: Białe obłoki.
Śród obłoków siedzi Wieszcz.
Pogoda: Nie nadzwyczajna.
Na widowni pada deszcz

Nie ma sceny, nie ma krzeseł.
Na ziemi siedzą ludziska.
Takiego dziś w Ameryce
Nie było widowiska.
Kukielki z „Nic” są przygotowane.
Niemniej jednak pełne ducha.
Wieszcz powiada, że jest pora
By nareszcie ich wysłuchać:

Rzecznik Watykanu:

Wszyscy uczą się polskiego.
Nie wolno mówić „gracia”.
Mówi się tylko „dziękuję”.
Kompletna polonizacja!

Włosi szepczą, że Szwajcarzy.
Co byli Gwardia Papieży,
Mają wrócić do Szwajcarii,
Bo przyjdą Kosynierzy...

A na Spizowej Bramie
I to nie są plotki-żarty
Ludzie mówią, że wywieszą
Polskiego Orła i Narty!

Premier Mazowiecki:

Siedziałem tak siedziałem.
W Solidarności imieniu.

Dzisiaj znów przez Solidarność
Siedzę na innym siedzeniu.

W Polsce dzisiaj są trzy prawdy.
Są odkryte od niedawna:
Prawda, prawdziwa prawda
I gówno prawda!

Lech Wałęsa:

Nie ma mąki, nie ma cukru.
A co jest to nie jest świeże.
Za to mamy bardzo dużo
Wieprzowiny w Belwederze

Co mnie zostało z tych lat?
Nobla drugiego nie dadzą.
Niech drzewka z mym imieniem
na świecie sobie sadzą.

Owszem byłem w Białym Domu.
I George Bush spytał na wstępie:
„Pan jest elektryk? Czy to prawda?
Światło mnie zgasło w ustępie..”.

Byłem w Kongresie. Mówiłem.
A tu nagle mnie ktoś z Rządu:
„Pan jest elektryk? Czy to prawda?
W naszych salach jest brak prądu..”.

A w Hiltonie na bankiecie
Jakiś facet podlatuje:
„Pan jest elektryk? Czy to prawda?
Nasza winda nie pracuje..”.

Wielka Statuo Wolności!
Światło Twoje wszędzie wnika.
Nie zapomnij o tych drutach,
Które masz od elektryka

**Stanisław Nawakowski,
USA-1990**

Najcichszą i najskromniejszą, ale chyba najciekawszą postacią tutejszej emigracji w Kalamazoo jest Henryk Hawran, konstruktor nóg pierwszego, amerykańskiego pojazdu Surveyor, który wylądował na Księżycu w roku 1968. Nie trudno zauważyć, że owe nogi musiały być bardzo uniwersalnie zaprojektowane, bowiem nie wiadano na jaką powierzchnię trafią na tej planecie, gdzie tylko przedtem „wylądował na kogucie nasz rodak Twardowski”. Owe nogi Heniek

zaprojektował w Kalamazoo, w tutejszej firmie *NWL Control Systems*, która brała udział w pracach nad programem kosmicznym. Życiorys Henia jest syntezą życiorysu polskiego emigranta. Pochodzi z Brodów koło Lwowa, zamożnej rodziny, będącej właścicielami wielu kamienic, 120 akrów ziemi i zakładów przemysłowych oraz dużej ilości gotówki (w tym 20 tys. dol. w złocie). Matka jego Barbara była komendantką w POW W7 w randze kapitana (odznaczona Krzyżem Niepodległości z Mieczami), za co została zamordowana przez Sowietów, pomimo, że była matką pięciorga dzieci.

Po jej śmierci babcię Marię Lamparską (odznaczoną Krzyżem Niepodległości) wywieziono wraz z wnuczkami (w tym z Heniem) na Syberię, gdzie jeden z braci 18-letni Edward zmarł z wycieńczenia. Dzielna babcia wraz z wnukami została z Syberii przewieziona do Kazachstanu, gdzie żyli w tragicznych warunkach, a następnie los rzucił ich do Uzbekistanu, gdzie formowała się Armia Andersa. W Uzbekistanie w Kermine, w czasie pobytu Henia, zmarło w ciągu kilku tygodni ponad 7 tys. Polaków z wycieńczenia i chorób. Henio również był bliiski śmierci.

Heniek jako 16 letni chłopak wraz z Armią wydostał się z Rosji do Iranu a potem do Palestyny, gdzie skończył polską szkołę i wstąpił do wojska. Został potem skierowany do Egiptu i następnie do Anglii na przeszkolenie wojskowe na pilota. Na swoim koncie ma zaliczonych mnóstwo godzin w powietrzu i to z wyróżnieniem. Po wojnie skończył studia techniczne w Bournemouth w Anglii (mieszkał w niej ponad 10 lat), po czym wyjechał do Kanady a stamtąd do Kalamazoo, gdzie „pomógł” Amerykanom wylądować na Księżycu. Potem Henio projektował podzespoły do świetnych myśliwców F-14, F-15, F-16 i F-18, które być może będą bronić polskiego nieba, odkąd (1999) Polska jest członkiem NATO. Tak więc świetna myśl inżynierska Henia przyda się wreszcie i w Polsce.

Heniek jest osobą bardzo życzliwą i pomaga wielu ludziom z tutejszej Polonii, za co jest bardzo lubiany. Heniek pomógł i mnie po wypadku samochodowym, doglądał mnie i był bardzo serdeczny. Zrewanżowałem mu się moją intuicją, raz podczas przyjęcia u nas w domu coś mnie tknęło i zadzwoniłem do Henia (nie był jeszcze żonaty z p. Jolą), ale telefon nie odpowiadał, wiedziałem, że czuł się źle, nie wiele namyślając się wyszedłem z kolacji z gośćmi i pojechałem zobaczyć co dzieje się z Heńkiem, zastałem go w wannie bezsilnego. Przy mojej pomocy wszedł do mojego samochodu, zawiozłem go do ośrodka natychmiastowej pomocy medycznej, gdzie już musiał z samochodu dojechać na wózku, lekarz po zbadaniu zalecał karetkę pogotowia, która zawiozła Henia leżącego już na noszach do szpitala, gdzie go odratowano. Gdybym nie pojechał do niego pewnie by nie przetrzymał kryzysu, przeszedł niedawno operację wrzodów żołądka, na którego ponowne bóle zażył kilka tabletek aspiryn, które spowodowały wewnętrzny krwotok.

W domu Heniek rozmawia tylko po polsku z żoną z Polski, panią Jolą Mianowską, b. redaktorką z Państwowego Instytutu Wydawniczego, sławnego PI-Wu. Że los ludzi łączy ich w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, niech

świadczy fakt, że pani Jola była jedną z osób, które pracowały przy mojej książce „Informatyka klucz do dobrobytu”, którą wydał PIW w 1971 r. w Warszawie. Żeby było jeszcze ciekawiej, byliśmy sąsiadami w kamienicy przy ul. Kostanickiej 9 w Warszawie. Oczywiście pani Jola nadal czyta moje manuskrypty i je usprawnia pod względem polskiej pisowni. Życiorys pani Joli jest też naznaczony krwią jej ojca, którego zamordowali Niemcy (swego młodego ojca nawet nie pamięta) a potem jej walką o przetrwanie w PRL, gdzie z matką-wdową żyło się im bardzo ciężko. Teraz pomna swego losu, humanistki, która będąc jeszcze w liceum dorabiała korepetycjami ucząc dzieci PRL-owskich dygnitarzy, wykształciła syna Piotra na świetnego informatyka, na moim uniwersytecie i pomaga córce Agnieszce żyjącej w Polsce. Zresztą pomaga wielu ludziom, wysyłając po kilka paczek miesięcznie do Polski, zwłaszcza po stanie wojennym, kiedy było tam naprawdę bardzo krucho. Nie wiem tylko czy jej za to podziękowano?

Zaprzysiężniłem się z panią Ewą Budek-Bielską z Grosse-Pointe, bardzo prestiżowej dzielnicy miasta Detroit, której los jest równie fascynujący. Urodziła się w Argentynie, gdzie ojciec Mieczysław Budek był przed wojną dyplomatą a przedtem frontowym oficerem (I wojna światowa). W 1946 r. jako 13-letnia dziewczynka uciekła przez zieloną granicę z PRL (matka Karolina zginęła w Oświęcimiu) po przeżyciu niemieckiego obozu pracy jako dziewczynka. Uciekła do ojca, oficera i adwokata, który przeżył niemiecki oflag. W oflagu otrzymywał paczki od b. prezydenta Stanów Zjednoczonych (1929-33) Herberta Hoovera, wielkiego przyjaciela Polski, którego był tłumaczem podczas jego misji wojskowej w Polsce w 1919 r. Niemcy nie mogli się nadziwić trosce amerykańskiego polityka, który był człowiekiem bardzo wrażliwym i po wojnie poświęcił się niesieniu pomocy USA krajom europejskim. Zaczął tę pomoc od ojca pani Ewy. W oflagu M. Budek uczył języka niemieckiego syna Stalina. Obóz mjr. Budka został wyzwolony przez gen. George Pattona, który stanął przed szeregiem międzynarodowych oficerów i rozkazał wystąpić tym, co znają język polski, niemiecki i angielski. Wystąpił tylko jeden oficer, którym był Mieczysław Budek, który został tłumaczem Generała. Pan Budek znał jeszcze biegle francuski, hiszpański i turecki. Nie wiem, czy czasem nie za jego sprawą, czołwka wojska amerykańskiego w postaci zwiadu czołgowego, dotarła z Czechosłowacji w rejon Zakrętu Śmierci koło Dusznik w Polsce. Być może pojechali tam po córkę Ewę, bo był taki plan. Jest to prawie, że nie znany epizod z II wojny światowej. Szkoda, że gen. Patton miał wypadek samochodowy, który go sparaliżował i spowodował przedwczesną śmierć w 1945 r. Inaczej pewnie byśmy wiele jeszcze słyszeli o bardzo zdolnym majorze Budku-adwokacie-doktorze praw UJ, wnuku Tomasza Budka, powstańca z 1830/63 a po kądzieli wnuka Nawrockiego, d-cy szwadronu Krakusów w Grupie gen. Langiewicza w 1863 r.

Po wojnie ojciec pani Ewy podjął badawczą pracę na prestiżowym Uniwersytecie Harvarda w Bostonie. Natomiast jego córka o nieprzeciętnej urodzie została modelką a następnie dyrektorką mody w bardzo znanym łańcuchu domów towarowych Hudson. Na tym stanowisko kierowała ponad 350 milionowym bu-

dżetem i przemierzała świat w pierwszej klasie w poszukiwaniu towarów dla Hudsona. Znając świetnie angielski, pani Ewa stała się rzeczniczką polityki na rzecz sprawiedliwych emerytur w biznesie, co zaprowadziło ją do zeznań przed komisją Kongresu. Ma dwóch synów, z których jeden Andre jest świetnym informatykiem. Pani Ewa pomimo, że wrosła bardzo mocno w amerykański biznes, żyje praktycznie polskimi sprawami, które zawiodły ją po 1989 r. do Polski, gdzie zorganizowała systemy dla amerykańskiej Izby Handlowej, a potem zrobiła to samo dla kanadyjskiej firmy ubezpieczeniowej, ucząc polskich nowicjuszy jak prowadzić biznes po kapitalistycznemu. Czyż nie fascynujący jest jej i jej ojca los? Ileż takich historii można by opowiedzieć o tysiącach emigrantów, których talent nie został wykorzystany w Ojczyźnie, bo takowa w postaci PRL ich nie chciała, a nawet prześladowała.

W Kalamazoo z młodszej generacji muszę mile wspomnieć moich tenisowych partnerów, inż. Andrzeja Gulińskiego z żoną Grażyną i Piotra Miętusiewicza z żoną Anną. Andrzej jest kierownikiem działu inżynierskiego w międzynarodowej firmie a Grażyna, zwana po prostu Giną prowadzi bardzo sprawnie agencję podróży Super Travel. Natomiast Piotrek, absolwent AWF rehabilituje tutajszych pacjentów i czasem przysyła ich do mojej żony i odwrotnie. Są jeszcze polskie studentki-muzyczki, Kasia Sokół, Ola i Zosia Hołówka, które występują w naszej zawodowej orkiestrze symfonicznej, grając na skrzypcach i altówkach.

W tym prawie nieznanym mieście Kalamazoo jest jeszcze ze 200 Polaków lub Amerykanów pochodzenia polskiego, którzy przychodzą raz w miesiącu na polską mszę w Katedrze Św. Augustyna. Mszę odprawia polski ksiądz prałat Marian Kencik, który jest przykładem wielkiego patrioty i świetnego organizatora życia polonijnego opartego na religii. Jest absolwentem KULu, gdzie uczył go prof. Karol Wojtyła, ma w związku z tym szerokie znajomości wśród księży-kolegów, z których wielu jest już biskupami. Dzięki niemu dotarłem do nich, kiedy szukałem autora rozdziału o myśli Papieża Jana Pawła II, jaki potrzebowałem do książki *Los Polski i Świata*. Ksiądz Marian pięknie śpiewa i organizuje parafialne poczęstunki i sprowadza na nie polskich muzyków, najczęściej na swój koszt. Bez przerwy organizuje wycieczki do Polski, do Rzymu, czy amerykańskich kościołów. Kiedy pracował w Nowym Jorku zorganizował wycieczkę 30 autobusów na spotkanie z polskim Papieżem w Kanadzie. Kiedy został proboszczem parafii w sąsiednim mieście Niles, parafianie zorganizowali mu party na 700 gości z polską muzyką i paru tysiącami gołąbków i pierogów. Było to chyba największe party w stanie Michigan, kiedykolwiek zorganizowane w celach społecznych. Muszę dodać, że wśród tych parafian 99,9 % stanowią Amerykanie. Spodobałem się chyba ks. Kencikowi, skoro polecił mi czytanie pisma świętego podczas polskich mszy. Jestem jakby jego pomocnikiem, zawsze bardzo stremowany, kiedy wchodzę na ambonę, pomimo mojej praktyki mówienia do studentów z katedry. Prócz ks. Mariana mamy jeszcze polskiego księdza w sąsiedniej parafii Bogdana Werę rodem z Kościerzyny, który też cieszy się bardzo dużym uznaniem swych parafian.

Na Uniwersytecie jest jeszcze dwoje Rodaków z Polski, prof. Roman Rabiej, kierownik jednej z katedr na Wydziale Inżynierskim i mgr Grażyna Wolska, malarka i ...dyrektor wydziałowego ośrodka komputerowego Wydziału Sztuk Pięknych. Romek z żoną Ewą mają niezwykle uzdolnionego syna Dominika, który zdaje wszystkie testy szkolne bez straty punktów. Rodzice liczą, że zostanie drugim Eisteinem. Równie uzdolnioną jest Grażyna, która sama zbudowała dom o wartości 250 tys. dol. sama wyrabia meble, sama także maluje i rzeźbi, żeby nie wspomnieć o uczeniu grafiki komputerowej. Śpiewa także na mszach i pewnie potrafiłaby odprawić mszę i nie zgubiłaby się w konfesjonale, choć bym się jej nie wypowiadał, bo wiem, że nie dałaby mi rozgrzeszenia. Mieszka z kuzynką doktorem mikrobiologii Teresą Kubiak, która pracuje w badaniach w firmie farmaceutycznej Upjohn. Przy okazji warto zauważyć, że w Stanach pracuje wielu polskich mikrobiologów, w dziedzinie, którą nazwałbym „informatyką XXI wieku”.

Bardzo ciekawą osobistością jest pan Michał Barański, który jako chłopak został wywieziony na roboty do Niemiec. Swego czasu miał sklep spożywczy, na którym tak się dorobił, że teraz żyje w dostatku i często pomaga mi w reperacjach czy w podróżach do szpitala na badania, kiedy żona jest zajęta. Jest człowiekiem przysłowiowej uczciwości i uczynności, pewnie żywcem pójdzie do nieba.

W tym naszym Kalamazoo mamy tylu wspaniałych Polaków, którzy mimo, że od wielu lat tu żyją stale interesują się Polską, czytają polską prasę, mają satelitarny program TV Polonia i za nią by chyba wskoczyli w ogień. Takim już jest polski emigrant, który często myśli o Polsce więcej od tych, co żyją w niej. Jak wiadomo miłość na odległość jest zawsze bardziej intensywna od tej przeżywanej na miejscu.

Nasze zawody nie pozwalają na tkwienie tylko w polskim środowisku. Wyrobiliśmy sobie bardzo oddanych przyjaciół wśród Amerykanów, nie bez kozery pochodzących z Centralnej Europy i mających życiorysy zbliżone do naszych. Na przykład cenimy sobie bardzo przyjaźń z lekarzami Anną i Erwinem Novak, którzy w latach 60. uciekli z Czechosłowacji. Zawsze mamy sobie bardzo wiele do powiedzenia i bardzo lubimy razem przebywać, zwłaszcza na lekarskich party i dorocznych balach. Inni Czesi, jak Otto i Hanna Linet, też lekarz, czy Czeszka Wanda Herman ze swym amerykańskim mężem Tomem Pagelem, moim kolegą z uczelni są obowiązkowymi uczestnikami naszych spotkań. Oczywiście nie możemy obejść się bez spotkań z Węgry, uciekinierami, lekarzem-kardiologiem Janoszem Gellertem i jego przystojną żoną Judy, która ma rozległe stosunki w miejscowej elicie, z uwagi na jej pracę w różnych organizacjach społecznych. Do nich dołącza druga para uciekinierów z powstańczych Węgier w 1956 r. Robert i Marianne Denes. Robert był dyrektorem firm przemysłowych, a Marianne profesorem baletu na moim uniwersytecie i dobrą tenisistką, z własnym kortem w ich pięknej posiadłości. Może w wyniku naszej przyjaźni nasze kraje zostały przyjęte do NATO w 1999 r.? Bardzo się cieszyliśmy z tego powodu i uważaliśmy to za sprawę priorytetową i bezdyskusyjną.

Na prawach rodziny mamy stosunki z włoskim małżeństwem Carmelą i Alfredo Tomasselli, żona jest dyrektorką w znanej firmie ubezpieczeniowej Metropolitan, a mąż jej jest doktorem mikrobiologii w firmie Pharmacia&Upjohn. Okazuje się, że Polacy i Włosi mają podobne temperamenty a jako emigranci, mamy także podobne problemy.

Zaprzyjaźniliśmy się z niezwykle ciekawą rodziną rumuńskich uciekinierów, prof. Lucianem Rosu, historykiem kultury klasycznej i jego żoną Doną, poetką. Lucian miał przeszczepione nerki i często chorował, żył jakby na pożyczonym czasie. Oboje bardzo lubili przyjmować gości i częstować nas przysmakami rumuńskiej kuchni. Mieli bardzo przystojną córkę Lucianę, dziennikarkę, która usilnie starała się wyrwać z Rumunii swego męża Antonio, inżyniera. Wreszcie jej marzenie zostało zrealizowane, Antonio przyjechał i podjął już w wieku 40 lat studia z komputerów. Okazało się to za dużo dla niego i niestety zmarł chyba ze zbyt dużego wysiłku, a niedługo po nim zmarł teść, zacny i świetny historyk Lucian. I oto już u progu sukcesu, obie panie zostały wdowami. Nigdy nie zapomnę tych pogrzebów, pięknie śpiewanych przez rumuńskie zakonnice i z wielkim zaangażowaniem odprawianych przez popów. Zwłaszcza nie zapomnę tych zrozpaczonych wdów, szalenie kochających swych mężów, tak przedwcześnie owdowiałych. Piękna wewnętrznie i utalentowana rodzina tak niespodziewanie straciła swoich głównych żywicieli, na których liczyli jeszcze dwaj wnuczko- wie. Do Rumunii miałem zawsze sentyment, bowiem tutaj zaczynał swoją dyplomatyczną karierę mój Ojciec.

Z Amerykanów zaprzyjaźniłem się z Georgem Demetrakopoulosem, Grekiem, który przyjechał jako dziecko do Ameryki i tu doszedł do stanowiska prodziekana na mojej uczelni. George zna cienie emigracji i dobrze rozumie moje położenie. Stąd nieraz podał mi rękę, gdy byłem w kryzysie, sam zresztą miał kłopoty małżeńskie, wtedy ja z kolei szedłem mu z pomocą i nawet poznałem go z pewną polską prawniczką Ewą Borcz, wdową z Chicago, której mąż zmarł w Kalamazoo. Bardzo dzielna kobieta, która została wdową po kilku miesiącach pobytu w Ameryce z trojgiem chłopców i z pięknym wilczurem z Polski oraz ze słabą znajomością angielskiego. Wyszła z tego i ma się teraz dobrze. Z Georgem żeglujemy po Jeziorze Michigan, aby upić się wiatrem i zapomnieć czasem o lądzie. Pobrali się w 2001 r.

Miałem także szczęśliwą rękę w zeswataniu mojego przyjaciela Staszka Opałki z Utica z moją dobrą koleżanką z Polski, Zosią Dziarczykowską-Śliwka. Zosia rozeszła się z mężem Władkiem i pisała, że „już ją nic nie czeka”. Pisałem jej „nie trać nadziei”, wiedząc, że może uda mi się pomóc jej wyjść z samotności. I udało się. Odwiedzamy się wzajemnie raz w Utice, a raz w Kalamazoo, a nawet w Martle Beach w Północnej Karolinie, gdzie na zimę Opałkowie uciekają do swojego drugiego domu, z północnej, zaśnieżonej części stanu Nowy Jork. Staszek przybył do Stanów Zjednoczonych z Sybiru przez Iran i Meksyk, miał wtedy 14 lat i od razu postanowił wtopić się w środowisko amerykańskie, żeniąc się z Amerykanką (z którą potem rozwiódł się) i grając prawie zawodowo

w golfa. Ale nie dał się zwariować dobrobytem tutejszym i pogonią zbyt wcześnie za dobrami cywilizacji, tylko postawił na naukę, skończył studia i zrobił doktorat z pedagogiki historii, co dało mu prawo wykładowania w szkole i w koledżu. Staszek uważa, że Polak wywieziony do Rosji musiał walczyć o swoje życie, natomiast Polak w Ameryce musi pilnować co mu się należy i co gwarantują mu podstawowe prawa człowieka zapisane w Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych: „Życie, Wolność i poszukiwanie Szczęścia”. Aby osiągnąć te sławne wartości wypisane przez Thomas’a Jeffersona, człowiek w Ameryce musi posiadać wiedzę, nowoczesną wizję świata, umiejętność zachowania dyscypliny i porządku publicznego. Wreszcie Polak, który przybył do Stanów po sukcesie nie powinien liczyć na nikogo tylko na siebie. Staszek jest przykładem tej tezy.

Wreszcie muszę wspomnieć o moim przyjacielu Tomie Zemrowskim, Amerykaninie polskiego pochodzenia, który chyba najlepiej z nas kultywuje polską tradycję w domu. On i żona Carrol mają po 2 metry wzrostu, a ich dwie córki Laura i Paula niewiele im we wzroście ustępują. Nic dziwnego, że Paula jest świetną siatkarką, która dzięki temu opłaca sama sobie studia na prestiżowym *University of Pittsburg*. Tom zawsze służy mi radą i pomocą, gdy jestem w potrzebie.

Inny krąg znajomych i przyjaciół stanowią moi koledzy tenisowi. Od ponad 10 lat gram, w tej samej grupie 14 kolegów, trzy razy w tygodniu, w środy i soboty od 7:30 do 9 rano i w poniedziałki od 3 do 4:30 po południu. Po grze siadamy na godzinną pogawędkę przy kawie, które to zajęcia stają się może ważniejsze od samej gry w tenisa. Od kolegów uczę się wielu szczegółów życia amerykańskiego. Steve Rodia jest konsultantem komputerowym i wie ostatnie nowości z tego zaszarowanego świata, Tim Williams jest chirurgiem szczękowym i wspaniałym tenisistą o niezwykle silnym serwisie, który jest zainteresowany w dobrym zainwestowaniu swych wielkich dochodów, George Berry jest emerytowanym kierownikiem z *Generals Motors*, który zna ostatnie plotki z koszykówki i footballu, Bob Corrión jest mimowolnym milionerem, który świetnie rozwinął małą fabryczkę, a potem ją bardzo korzystnie sprzedał, a teraz ma kłopoty co robić pieniędzmi, aby ich nie stracić. Carl Benett jest byłym fotografem, który ożenił się z o wiele młodszą i przystojną żoną, w związku z tym bardzo dba o swe zdrowie w grze w tenisa i żeglowaniu na desce oraz w radzeniu nam z pozycji człowieka obeznanego z tym i owym. Nadzieję na lepszą grę w tenisa pokłada w coraz to nowych rakietach. Fred Bowman jest emerytowanym dyrektorem szkoły, który wszystko wie o sporcie i zna dużo świetnych dowcipów i dykteryjek. Wayne VanWheelden jest emerytowanym fachowcem od papieru, który prócz gry w tenisa lubi pływać szybkimi motorówkami i jest na korcie dzentelmenem w każdym calu. Bob Haas, nie pracuje tylko dogląda swoje akcje na giełdzie i ciągle liczy, że będzie miał lepszy *backand*, i że wreszcie znajdzie dziewczynę zamożniejszą od siebie, w co osobiście wątpię. Chuck Parker udziela korepetycji oraz jest trenerem tenisowym szkolnej drużyny, do tenisa ma „naukowe” podejście, które być może zakończy zrobieniem doktoratu, ale nie znaczącym podwyższeniem poziomu gry. Zbyt dużo ryzykuje na korcie

i myśli, że zawsze mu wyjdzie ryzykowna piłka. Gdyby częściej odwiedzał Las Vegas to by wiedział, że hazard nie popłaca. Rainer Earhart jest emerytowanym profesorem geografii na moim uniwersytecie i znakomitym hodowcą rasowych ptaków, z których sprzedaży opłaca swoje zagraniczne podróże. W tenisa gra z niemiecką solidnością, opuścił Niemcy, gdy był młodzieńcem, bowiem nie podobała mu się niemiecka agresja. Jesteśmy jedynymi Europejczykami w tej grupie i dość dobrze rozumiemy się, nie mamy złudzeń wobec wielu spraw. Dzięki niemu poznaję drugą stronę medalu II wojny światowej, o której często dyskutujemy. Bruce Dillion prowadzi wielki sklep muzyczny i gra niezwykle ostro w tenisa, niestety gra zbyt agresywnie, gdyby wszystkie piłki mu wychodziły, na co niestety zawsze liczy, to by pewnie wygrał z samym McEnroe. Bob Kaufman jest emerytowanym profesorem nauk politycznych z mojego uniwersytetu i byłym zawodnikiem, gra więc świetnie w tenisa, najczęściej gram z nim w singla i w deblowych turniejach, które nieraz wygrywamy w naszej kategorii wiekowej. Od czasu do czasu gram z Bob Dunbarem, byłym zawodnikiem, z którym też od czasu do czasu wygrywamy turnieje.

Wszyscy uważamy za duży sukces trzymanie się razem w takiej grupie zapaleńców tenisowych i to tak długo. Kilku z nich na zimę udaje się na Florydę, ale zawsze wiernie wracają na wiosnę i lato do nas. Czasem odwiedzam ich w zimie na Florydzie, gdzie znów gramy w naszego tenisa, który trzyma nas przy życiu. Żyjemy zbyt długo, aby wiedzieć jak trudno jest zmontować tak miłą paczkę kumpli. Co roku urządzam dla nich party tenisowe w naszym letnim domu w Saugatuck nad Jeziorem Michigan, gdzie mamy dostęp do kortu i domku klubowego oraz basenu.

Oczywiście nasze kontakty towarzyskie nie ograniczają się do tych tu wymienionych osób, nie sposób je wszystkie wymienić, wspomnę tylko, że na moje 60. urodzinowe party, które urządziliśmy pod namiotem w ogrodzie przyszło blisko 70 gości.

Kiedy mieszkaliśmy na Long Island, pod Nowym Jorkiem, tenis pomógł mi zawiązać wiele znajomości. Zacząłem grać z kolegą z kortów Agrikoli w Warszawie, przemiłym Wojtkiem Sosnowskim, marzeniem wielu kobiet. Przez niego poznałem i zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Walkowskim, właścicielem firmy sprzedającej i instalującej aparaty roentgenowskie. Jego ojciec zainstalował pierwsze aparaty tego typu w Polsce i teraz Jurek robi to samo w Stanach. Jego żona Marysia była właścicielką szalonego wziętego salonu mody. Niestety Jurek zginął zaccadzony we własnym garażu w samochodzie, czyżby zgładziła go mafia, której odmówił haraczu ten dumny Polak? Jurek szalenie lubił grać w tenisa. Planował skomputeryzowanie rentgenów i chciał przeze mnie zaprosić do pracy Jacka Karpiańskiego ze Szwajcarii, ale Jacek odmówił. Czwartym do debła był pan Janek Krasieński, księżę posiadający biznes lakierniczy i dobry backand. Często grywałem z Mietkiem Ciemnym, architektem z Wrocławia, który wygrywał większość konkursów w Nowym Jorku na koncepcyjne rozwiązania architektoniczne. Pięknie malował i był bardzo wrażliwym kolegą, który lubił szybkie jaz-

dy samochodem. Grywałem z Marysią Ginterową, która zabierała mnie do zaprzyjaźnionych z nią graczy w bardzo eleganckich rezydencjach, gdzie oczekiwała ode mnie, że będę wygrywał w cuglach wszystkie nasze miksty. Była bardzo zawiedziona, gdy mi to nie wychodziło. Gdy wyjeżdżała do Polski trzymała w naszym garażu swe sportowe auto. Była niewątpliwie wielką osobistością, którą znałem, a nawet podziwiałem jako młody chłopak na kortach Agrikoli. Teraz też podziwiałem jej radość życia i wybitną inteligencję, co tu dużo mówić, jej wielką klasę, choć potrafiła być czasami denerwującą. Któż to tak ciekawa kobieta nie potrafi nią być? Wszyscy jej to darowaliśmy.

Bardzo lubiłem przebywać w domu Ewy i Włodka Wołczyńskich. Ewa jest projektantką mody, a Włodek wziętym architektem. Mieliśmy wielu wspólnych znajomych z Polski, Ewa znała nawet moją Mamę i Irminę. Ewa jest świetną gospodynią i oboje lubią gości. Niestety rozeszli się wbrew logice i jakby na złość sobie, po przejściu nielekkih losów emigrantów, najpierw we Francji, a potem w Stanach. Nigdy nie wierzyli, że mogą się rozwieść i rozwód najbardziej zaskoczył ich samych, a potem Włodek zdziwił się, kiedy Ewa wyszła za mąż, chyba jemu na złość. W końcu Włodek zrozumiał, że to już „koniec”. I sam się ożenił, by nie być gorszym i by się wkrótce przekonać, że od Ewy nie ma lepszej dziewczyny. Ot tak nieraz układają się losy ludzkie, wbrew naszym oczekiwaniom i kiedy okazuje się, że sami jesteście swoimi największymi wrogami.

W karnawale 1984 r. zostaliśmy zaproszeni na bal urządzany przez państwa Teresy i Witolda Sulmirskich a potem do ich domu pod Nowym Jorkiem. Spotykała się tam cała śmietanka nowojorskiej emigracji, a Sulmirscy są czubkiem owej śmietanki. Niższy trochę status miał gościnny dom Heleny i Stanisława Chądzyńskich w Glen Cove na Long Island, gdzie w pięknym ogrodzie odbywały się liczne party. Duże wrażenie na gościach robiły portrety przodków o pięknych szlacheckich twarzach. W tymże miasteczku, gdzie mieszkaliśmy w latach 1982-84, zaprzyjaźniliśmy się z Helutą i Romanem Kaznowskimi. Są oni przykładem typowych emigrantów, bardzo pracowici i uczciwi w przyjaźni. Heluta zdała egzamin kosmetyczny i założyła swój gabinet, a Romek pracował w fabryce i choć z zawodu był inżynierem, niestety nie jako inżynier. Uciulali niezłe oszczędności i na emeryturę przenieśli się do Clearwater na Florydzie, gdzie ich odwiedzamy. Długo starali się o sprowadzenie swoich synów z ich rodzinami. Było to w okresie stanu wojennego i wszystkim nam wydawało się, że życie w PRL jest jednym koszmarem. Wreszcie synowie przyjechali i wszystko szło jakby według dobrego planu, aż tu jeden syn zapada na raka i umiera, pozostawiając całą rodzinę w rozpacz, której po tym nawet odechciało się „Ameryki”.

W 1984 r. Wojtek Fibak był o dwie piłki od półfinału wielkoszlemowego, tenisowego turnieju US Open, który to mecz oglądałem i trzymałem kciuki za naszego gracza. Po turnieju pan Wojtek zaprosił mnie do swojej rezydencji w prestiżowej miejscowości Greenwich pod Nowym Jorkiem. Świetnie zarabiał na korcie i poza nim, mądrze inwestował i był już chyba milionerem. Pokazał mi kolekcję obrazów polskich malarzy, była bardzo skromna, może liczyła kilka

obrazów. W 1998 r. W. Fibak zaprosił mnie na wystawę swej kolekcji w Sopocie, która miała już kilkaset obrazów, świetnie reprezentujących różnorodną twórczość malarzy. Kolekcją tą Fibak zaimponował mi, chociaż w 1984 r. nie doceniłem jego uporu i wiedzy o malarstwie. Wiadomo, że zbieranie dobrych obrazów jest najlepszym biznesem i nasz świetny tenisista wiedział dobrze co robi. Wiedział także, jak spożytkować tanią siłę polskich emigrantów w Nowym Jorku. Przy pomocy b. olimpijczyka, tyczkarza Zbyszka Janiszewskiego, architekta, kupował i remontował mieszkania, a następnie je sprzedawał z dobrym zyskiem. W biznesie tym uczestniczył nawet Czech Ivan Lendl, wówczas pierwsza rakietą świata. Przy okazji Zbyszek sam się dorobił pięknej posiadłości z wielkim domem i kortem, gdzie mnie zaprosił i gdzie spotkałem kilku kolegów z Polski, m.in. Jurka Lindnera, kolegę z gimnazjum im. T. Reytana. Zbyszek, od czasu rozvodu ze „złotą Elą”, mistrzynią Europy na 200 m., szuka nadaremnie drugiej „złotej” dziewczyny. Spotyka co najwyżej „srebrne”, które zaraz porzuca, w myśl powiedzenia „szukajcie a znajdziecie”. Czyżby Zbyszku?

Pod względem psychicznym najwięcej mnie łączyło i nadal łączy z Wojtkiem Wojtasiewiczem, muzykiem-organistą. Wojtek ukończył konserwatorium w Warszawie i w Brukseli, a w *nowojorskiej Juliard School of Music* zrobił doktorat. Raz zlitował się nad pewną dentystką, emigrantką z Polski, która zawiodła go do ołtarza. Wojtek, aby utrzymać się gra na organach w kościołach nowojorskich, a nawet w samej katedrze Św. Patricka. Nie był to duży dochód, ale wystarczył na sfinansowanie powtórzenia studiów dentystycznych żonie w Stanach, która wkrótce stanęła na własne nogi i zaczęła dobrze zarabiać. Oczywiście apetyt rośnie w miarę jedzenia i wkrótce zaczęła domagać się od Wojtka większych zarobków, kazała mu nawet skończyć kurs na technika dentystycznego i nawet namawiała go, aby został taksówkarzem. W tym czasie Wojtek był kierownikiem katedry muzyki organowej w *Catholic University* w Waszyngtonie, gdzie dojeżdżał. Wojtek, bardzo wrażliwy artysta, nie wytrzymał ciągłych awantur żony, które nieraz rozładowywałem swoją interwencją. Uciekł pod opiekę pewnej właścicielki salonu piękności, która była tak nim zachwycona, że kupiła za milion dolarów dom w Greenwich, pięknego mercedesa i chciała mu jeszcze wybudować prywatną salę koncertową. Okazuje się, że nawet tak świetne warunki nie zatrzymały naszego artysty, wyjechał na studia medyczne do Polski. Wygląda bardzo młodo, a usposobienie ma jeszcze młodsze, więc dobrze sobie radził wśród polskich studentów, a zwłaszcza wśród studentek, tym bardziej kiedy okazało się, że jest z Ameryki. Ponieważ obiecał dać koncert podczas rozdania dyplomów lekarskich, więc uroczystość przeniesiono do sali Filharmonii Narodowej. W III RP odbył staż chirurga plastycznego, ale nie mógł się utrzymać z pensji poniżej 1000 zł. (250 dol) więc wracając do Stanów zabrał ze sobą młodziutką, świeżo upieczoną lekarkę Agatkę i zaczyna życie od „nowa”, w myśl zasady, że „wiek męski to wiek kłęski”. Znowu od 1999 r. gra, a raczej koncertuje w kościele pod Nowym Jorkiem, gdzie wałęsa tłumy i z młodziutką żoną przygotowują się do ciężkich egzaminów na dyplom amerykańskich lekarzy. Wojtek

spotkał się w Polsce z b. żoną na pogrzebie jej ojca i pochwalił się, „patrz, jestem lekarzem”, a ona na to, „ty zawsze byłeś niepoważny”. Nie zrozumiała, że to ona jest sprawcą jego dyplomu i tak naprawdę, to ona była „niepoważna”, kiedy z artysty chciała zrobić rzemieślnika.

W Nowym Jorku wziąłem parę razy udział w spotkaniach Instytutu Sztuki i Nauki, jeszcze w jego starym pomieszczeniu. Podczas konferencji z okazji 100-letniej rocznicy urodzin naszego wybitnego matematyka Wacława Sierpińskiego, poznałem jego syna, synową i szalenie atrakcyjną wnuczkę. Poznałem także legendarnego współautora amerykańskiej bomby wodorowej prof. Stanisława Ulama, który wygłosił bardzo sympatyczne wspomnienie o swym wielkim koledze.

Podczas innych spotkań zasmucił mnie brak osoby charyzmatycznej, która by porwała i integrowała nasze środowisko, w którym każdy kręcił się wokół swojej osi. Ponieważ wiele publikowałem w „Nowym Dzienniku”, więc raz zaprosił mnie na kolację sam Bolesław Wierzbiański i Hieronim Wyszyński, ten pierwszy to legendarny jego redaktor naczelny, a ten drugi to szef kombatanów, którzy chcieli zobaczyć jak wygląda „polski komputer”.

Oczywiście wziąłem parę razy udział w demonstracjach przed PRL-owskim konsulatem i rezydencją Olega Trojanowskiego, sowieckiego ambasadora przy ONZ, w Glenn Cove. Na tych demonstracjach spotykałem się z Ireną Lasotą, animatorką tych demonstracji. Brałem także udział w audycjach Głosu Ameryki i Wolnej Europy, ale o tym wspomnę w następnym rozdziale.

Tak oto wygląda w większym skrócie przeciętne życie towarzyskie polskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych, którzy raczej nie nudzą się, bowiem, ciągle wiją swoje kolejne gniazda i stale mają nad czym dyskutować i o co się martwić, czyli o Polskę. To dzięki tym dyskusjom i martwieniu się, wzmacniała się wola na pokonanie komunizmu w Polsce, która w efekcie zwyciężyła. Nie wspominam tu moich politycznych i zawodowych kontaktów oraz projektów, o których będę pisał w następnych rozdziałach. Zdaję sobie również sprawę, że w innych polonijnych środowiskach życie towarzyskie może toczyć się nieco inaczej.

Dzieci

Jak dotąd praktyka uczy, że pierwsze pokolenie emigrantów jest zawsze stracone. Dopiero trzecie pokolenie wychodziło na powierzchnię amerykańskiego życia pełną parą. W naszym przypadku, mieliśmy z żoną dobre wykształcenie i dobrą praktykę zawodową, a ja nawet nieźle znałem angielski, więc daliśmy sobie radę i w związku z tym naszym dzieciom, a nie wnukom powinno się powieść.

Staś skończył informatykę (*computer science*) na moim uniwersytecie, ale ponieważ było to na początku naszej emigracyjnej epopei (żona jeszcze nie pracowała), więc musiał sobie trochę dorabiać. Wkrótce sprowadził z Polski swoją